



©LAURA VESA

TERHI RANNELA

(ur. 1980)

Pisarka i dziennikarka. Studiowała literaturę na uniwersytecie w Tampere i obecnie jest związana z tym właśnie miastem. W swoim dorobku ma już osiemnaście książek, w tym dwie powieści historyczne dla dorosłych „Punaisten kyynelten talo” („Dom czerwonych łez”) i „Frau” oraz powieści dla młodzieży, wśród nich „Amsterdam, Anne F. ja minä” („Amsterdam, Anne F. i ja”). Jej książki dla młodzieży prezentują problemy nieobce współczesnym nastolatkom i nie uciekają od trudnych tematów, takich jak przemoc w szkole czy alkohol. Była dwukrotnie nominowana do Nagrody Topeliusa za utwory „Goa, Ganesha ja minä” („Goa, Ganesha i ja”) w 2010 roku i „Jäämeri, jäähyväiset ja minä” („Morze Arktyczne, pożegnania i ja”) w 2011; obie książki dopełniają trylogię rozpoczętą przez „Amsterdam...”). Terhi często odwiedza szkoły i biblioteki, by zachęcać do czytania i opowiadać o swojej twórczości. Działa także jako redaktor naczelna kwartalnika „Lukufiilis”, skierowanego głównie do młodzieży. W każdym jego numerze ukazują się recenzje oraz teksty dotyczące pisarzy, motywów literackich oraz samego czytania.



©TERHI RANNELA

AMSTERDAM, ANNE F. JA MINÄ

Amsterdam, Anne F. i ja

Piętnastoletnia Kerttu jest zagubioną nastolatką. Właśnie zerwała ze swoją dziewczyną w najgorszy z możliwych sposobów – wysyłając jej esemes. W dodatku nie wie, czego oczekuje od swojej wirtualnej relacji z Jimim, zwłaszcza że Mira wciąż siedzi jej w głowie. Chwilę odpoczynku mógłby zapewnić wspólny jesienny wyjazd z matką do Amsterdamu, ale... Matka Kerttu jest pisarką i ma obsesję na punkcie „Dziennika” Anne Frank. Uznała, że ta wycieczka jest idealną okazją, by Kerttu się z nim zapoznała.

„Amsterdam, Anne F. ja minä” (wydana w 2008 przez oficynę Otava) to pierwsza część trylogii, w której podróże są doskonałą okazją, by lepiej zrozumieć siebie. Główna bohaterka w trakcie krótkiej wyprawy do stolicy Holandii poznaje miasto, nowych ludzi i również losy Anne Frank. Chociaż książka skierowana jest głównie do młodzieży, to poprzez swój humor, wątek historyczny i ciekawą relację matka-córka na pewno trafi również do starszych czytelników.

TERHI RANNELA

„AMSTERDAM, ANNE F. I JA”

Przełożyła Justyna Robak

Rannela, T., *Amsterdam, Anne F. ja minä*, wyd. Otava, Keuruu 2008, s. 7-15.

1. Ja, pani pisarka i John Lennon

Gapię się w sufit, zamykam oczy, wpatruję się w przyczepione do niego, świecące w ciemności gwiazdy, moje własne gwiaździste niebo, i przewracam się na brzuch. Spróbuję przespać przynajmniej kilka godzin, inaczej z jutra nic nie wyjdzie. Liczę owce. Jedna, druga, trzecia, dziesiąta, setna, wszystkie czarne i kudłate. Chowam pod łóżko budzik z Betty Boop, żeby nie zerkać cały czas na wskazówki. Taksówka przyjedzie po nas o skandalicznej porze – wpół do trzeciej. Mama zamówiła taryfę wcześniej, żebyśmy nie musiały łapać stopa w środku nocy. To dopiero byłby widok. Matka na wypasie z córką marnotrawną sterczące przy drodze z wystawionymi wymalowanymi kciukami.

Mama zamknęła się u siebie. Słyszę miarowe stukanie w klawiaturę i Franka Sinatrę melancholijnie śpiewającego o Nowym Jorku: „*If I can make it there, I'll make it anywhere. It's up to you New York, New York...*”. Zawsze słucha Sinatry, gdy kończy swoje powieści. Edytuje ostatnie strony i stara się dokończyć ten śmieć (dosłownie śmieć, gdyby ktoś mnie zapytał) przed dobrze zasłużonym urlopem. Podobno redaktora z wydawnictwa już ręce świerzbą.

Matka i córka. Gospodarstwo domowe składające się z dwóch kobiet. Jeśli mama jest żółta, ja jestem fioletowa. Jeśli ona jest niebieska, ja jestem pomarańczowa. Gość od plastyki myli się, mówiąc, że barwy przeciwstawne dobrze do siebie pasują.

Pierwszy przykład: mama to odstawiona lady, która chodzi do fryzjera dwa razy w miesiącu. Ja sama sobie obcinam rozdwojone purpurowe końcówki przed lustrem w łazience, nie potrzebuję też kosmetyczki do wyciskania wągrów. Drugi przykład: mama chodzi na manikiur, ja namiętnie obgryzam paznokcie. Trzeci przykład: szafa mamy jest pełna fińskiego dizajnu, ja chodzę z dychą w portfelu po retrociuchy do lumpeksów.

Czwarty przykład: etyka pracy. Jedna ją ma, druga nie. Gdyby ktoś mnie pytał, w nocy się śpi, a przynajmniej próbuje, a nie siedzi się do późna, pisząc nieistotne artykuły do prasy kobiecej, ani nie zmusza bohaterki powieści, by robiła słodkie oczy do mężczyzny swojego życia.

Ja, Kerttu Koistinen, pierworodne i najmłodsze dziecko Kaariny Kataji, skończyłam wczoraj piętnaście lat i tak się też teraz czuję. Starzy Sissi pojechali na działkę, więc świętowaliśmy jednocześnie początek ferii jesiennych i moje urodziny. Sissi dała mi w prezencie własnoręcznie wydziergane na drutach czarno-białe skarpety w czaszki, mam je zresztą teraz na nogach, a Aram próbował mnie ucywilizować, dając mi komiks *Persepolis*. Jimi wysłał mi wirtualny tort, uściski i całusa na Facebooku i z tego, co wiem, dostanę jeszcze pocztą paczkę, najprawdopodobniej po powrocie z wyjazdu. Babcia z dziadkiem wysłali

pięćdziesiąt euro, ciocia Riikka – kartkę urodzinową z przeklinającym jeżem, a wujek Matti – rysunek swojej pięcioletniej córki Heleny. Jak widać, jestem kochana.

Pomimo dobrego początku wieczór skończył się moim płaczem i użalaniem się, ale na szczęście Sissi i Aram dali radę wysłuchać moich problemów sercowych, podnieść mnie na duchu i przytulić. Rano znalazłam w wysłanych wiadomościach trzy esemesy, które wymysknęły mi się do Miry. Nie odpowiedziała na żaden. Prawdopodobnie na liście kontaktów ma wpisane zamiast „Kerttu” – „Nie odbieraj!”. Sama tak zapisuję niechciane kontakty.

Dostałam dwa porządne prezenty, bo również mama dała mi książkę – *Dziennik Anne Frank*. W ubiegłym roku dała mi pamiętnik do zapisania, ale jeszcze nie zaczęłam. Pewnie chciałaby, bym poszła w jej ślady, ale nic z tego. Jak byłam dzieckiem, kilka razy zaczynałam bazgranie w pamiętniku, ale nudziło mnie to już w trakcie pierwszego tygodnia. Chcę żyć, a nie pisać.

Poza tym język fiński to najgorszy przedmiot w szkole. Nie znoszę nielogicznych reguł gramatycznych czy rozmnażających się z pasją przecinków. Jeśli ktoś naprawdę dostaje szału od anglicyzmów czy błędów w pisowni łącznej i rozdzielnej, to polecam znalezienie sobie jakiegoś rozwijającego hobby. Intuicja podpowiada, że są w życiu ważniejsze rzeczy. Zawsze z niechęcią podchodziłam do ludzi kategorii Trivial Pursuit. Znaczący nie zwolenników gry, ale takich mądraleńskich, którzy zapamiętują żałosne ciekawostki tylko po to, by dobrze wypaść przed innymi. Wierzę w większe sprawy. Tak wielkie, że niezbyt często otwieram podręczniki, chociaż to wcale nie znaczy, że inne książki mnie nie interesują. Jakaś zawsze leży na stoliku przy moim łóżku. W tej chwili spoczywa tam rozłożona *Nancy Deborah Spungen* i jedna z powieści Mariki Uskali. Nie lubię pisać, ale mówienie to co innego. Gadam jak katarynka, w mojej najlepszej formie nauczycielka biologii wyprosiła mnie trzy razy z jednej lekcji. Mówienie jest o wiele bardziej naturalne i fajniejsze niż pisanie. Nawet takie wewnętrzne monologi mogą ciągnąć się godzinami. Bła, bła, bła.

Powinnam spać. Chyba trzygodzinna drzemka to było za dużo. Wieczorem Sissi odstawiła mnie bezpiecznie do domu. Tak jak przystało na najlepszą przyjaciółkę, powiedziała: „Nie martw się. Wszystko się ułoży. Dasz radę. Jesteś dzielna”.

Rano mama z pewnością widziała moje zaczerwienione i podkrążone oczy, ale nie zaczęła rutynowego przesłuchania. Oczywiście wie, że jestem wkurwiona. Mama tyle razy się rozstawała, że ma wycucie sytuacji. Cierpiący na złamane serce zawsze pozna drugiego i wie, kiedy milczeć.

Moje relacje z innymi ludźmi są pogmatwane. Czuję się rozdarta między dwiema osobami. A raczej czułam. Mira prawdopodobnie odetchnie z ulgą, że przez tydzień nie wpadnie na mnie na mieście. Przynajmniej chwilowo uda się uniknąć potencjalnego oskarżenia o morderstwo. Śniła mi się każdej nocy, chociaż wcale nie chciałam. Nagle wszystko w tej dziewczynie jest porażająco piękne i wspaniałe. Jej śmiech, spojrzenie i uściski, których nie potrafiłam docenić. Usta, które – choćby nie wiem co – zawsze są jaskrawoczerwone.

Jej styl, który może budzić albo podziw, albo odrazę. Pokażna czarna torba, z której wystaje szkicownik.

Ostatnio wydarzyło się wiele różnych rzeczy, zbyt wiele. Przyznaję, że byłam straszną suką, powinnam była dwa razy się zastanowić nad swoim postępowaniem. Powinnam była się zastanowić już dużo wcześniej.

Na pewno można kogoś rzucić w bardziej przemyślany sposób niż esemesem. Mama tylko kręciła głową, gdy jej o tym opowiadałam. Nie wyglądała na zachwyconą, chociaż już wcześniej miała sporo do przełknięcia, gdy z hetero-Kerttu stałam się lesbijką, bi czy jak to się tam teraz nazywa, tak czy inaczej zdeorientowaną nastolatką. Ma jednak w zwyczaju zachowywać się podręcznikowo. Należy do tych ludzi, którzy zapisują sobie na kartce plusy i minusy, gdy w życiu pojawia się kryzys. Nie wiem, co zapisała na mój temat. Plus: Kerttu to moja jedyna córka. Minus: Kerttu to moja jedyna córka. Bądź tu mądra. Za to o Jimim jeszcze nie opowiadałam. Przesadna otwartość to jednak za dużo. Może jestem tak szaloną kochanką, że mama opisze mnie kiedyś w książce. Chociaż nie zamierzam tego sprawdzać, bo nie mam w zwyczaju zaglądać do wypocin pani Kataji. Mojej rodzicielce może się wydawać, że nasza więź matka-córka jest w jakiś sposób wyjątkowa, ale nic z tych rzeczy. Relacja piętnastolatki z matką nie może być w żaden sposób wyjątkowa, co na przykład scenarzyści *Kochanych kłopotów* mogliby załapać wcześniej. Być może każda matka Lorelai marzy o własnej uzdolnionej córce Rory, z którą mogłaby się wszystkim dzielić – szczęściem, smutkami, rozterkami sercowymi – i z którą mogłaby oglądać maratony filmowe, siedząc razem na kanapie i zajadając chipsy. Brzmi jak utopia, jeśli popatrzę na moje kumpele. Pokażcie mi szczęśliwą rodzinę, w której rozmawia się o wszystkim, a wtedy ja pokażę wam mój trwały związek.

Za nic nie mogę zasnąć. Owce się rozszalały. Tańczą pogo w rytm punka, stukają pokrywkami od garnków, pokazują języki i wywijają salta w tył.

Przy drzwiach do pokoju widać cień mojej walizki z Mary Poppins. Mam za dużo rzeczy, ale tak zawsze jest w podróży. Za każdym razem kończy się tym, że musimy dokupić dodatkową torbę na prezenty. Oprócz *Dziennika* Anne Frank rodzicielka dała mi nowe beżowe zamszowe buty wykończone białym futerkiem i wyjątkowo kiczowatą torbę z Johnem Lennonem. Niezależnie od problemów sercowych przynajmniej będę bardzo stylowa w moim weltszmercu. To pocieszające.

Jutro o tej porze będziemy już w Amsterdamie. Oderwanie się od rutyny zdecydowanie pomoże, nawet jeśli Sissi superdorośle się upiera, że od problemów nie ma ucieczki. Może nie na stałe, ale nawet siedem dni to lepsze niż nic.

Pukanie.

– Jeszcze nie śpisz? Słyszę, jak wzdychasz.

Mama uchyla drzwi.

– W głowie mi się płacze – odpowiadam w sufit.

– Na pewno wszystko się ułoży, uwierz mi.

– Skąd ta pewność?

– Oczywiście, że się ułoży, wiem to z doświadczenia. Teraz zamknij oczy. Na szczęście możesz później spać w autobusie.

– Tak przy okazji, czemu kupiłaś mi *Dziennik* Anne Frank? Przecież i tak mamy ich całą stertę.

– Wszystko w swoim czasie. Odpowiem ci w drodze.

– Jakieś to podejrzone.

– Może tylko troszkę.

– Mam kryzys! Nie możesz ode mnie niczego wymagać – jęczę.

– Budzik zadzwoni za dwie godziny, więc spróbuj już zasnąć kochanie.

– Powodzenia w pracy, mamo.

Dość dużo podróżujemy. Podobno matka cierpi na chroniczny szal podróżniczy, co jest nieuleczalną chorobą. Latem byliśmy z jej najnowszym (i wciąż aktualnym) gachem, Ogrodowym Gnomem, pięć dni w Paryżu. Dwa dni na piętrze autobusu turystycznego, gapienie się na wieżę Eiffla wśród tysięcy turystów. Jedzenie bagietki na parkowej ławce nad brzegiem Sekwany i załamanie nerwowe w Luwrze pośrodku absurdalnej masy ludzi. Na Wielkanoc wyskoczyłyśmy we dwie do Rygi i podziwialiśmy tam kobiety, które chyba urodziły się w szpilkach. Jeszcze nie rozmawialiśmy o następnej podróży, chociaż mama uwielbia przeglądać przewodniki. Na pewno ma już coś na oku.

Moja stara i do tej podróży przygotowała się po swojemu, dopinając wszystko na ostatni guzik. Kupiła przewodnik po Amsterdamie i spakowała jeden ze swoich *Dzienników* (bo nie ma szans, żebym ja taszczyła swój prezent). Mama zbiera różne wydania tej książki. Nie słyszałam o kimś innym, kto kolekcjonowałby jak ona jeden jedyny tytuł. Dziwne? Właśnie. W naszej domowej bibliotece jest kilka pól z Anne Frank. W różnych językach. Niedługo matka pewnie zacznie umieszczać ją w moim pokoju. Mam na ten temat troszeczkę inne zdanie...

Jest kompletnie oczywiste, że nie czytałam *Dziennika* i nie zamierzam go tknąć choćby palcem, nawet jeśli prezent był dany w dobrej wierze. Naprawdę nie zamierzam robić nic trącającego szkołę w trakcie podróży, wystarczy, że będę oddychać tym samym powietrzem co moja genialna (w cudzysłowie) matka pisarka. Demon, mój nauczyciel fińskiego, dostałby pewnie wylewu, gdyby mnie usłyszał, ale lepiej niech już ADHD-Ari wyśle go na zwolnienie. Kto wie, co się jeszcze wydarzy przed świętami. W szkole są już o to zakłady.

Moja rodzicielka interesuje się literaturą w różnych formach, do córki bardziej przemawia muzyka. Wezmę do samolotu empetrójkę wypełnioną kawałkami Antic Cafe, DOREMIdanu i Moon Kany. Mama oczywiście nie słyszała o żadnym z tych zespołów, ale będzie się uśmiechać poufale, jeśli pożyczę jej na chwilę słuchawki. Jest tak cholernie tolerancyjna. Kiedyś w jakimś wywiadzie dla gazety zaliczyła między innymi taką megawtopę, że powiedziała: „Dzięki córce wiem, co jara dziś ziomali”. Że niby co? Nigdy nie zapomina wspomnieć, że też była młoda. Trzeba być buntownikiem, odważyć się przekraczać granice, bo na starość nie ma się na to siły ani ochoty. Zawsze jej się udaje rozsądnie podejść do sprawy i pójść na kompromis, podczas gdy ja chciałabym po prostu się pokłócić. Porządne przewietrzenie strun głosowych, tak od czasu do czasu, wychodzi na dobre. Po jednej

sprzeczce rzuciłam szklanką w podłogę, ale się nie stłukła. Kiedy przy trzecim rzucie nie zrobiła się nawet rysa, obie wybuchnęłyśmy niekontrolowanym śmiechem i było po sprawie.

Przeciągam się i prostuję nogi. Ziewam szeroko, a moje usta wyglądają jak mała czarna dziura. Podnoszę się i wyglądam zza zasłony na podwórko, gdzie widać stół i cztery krzesła powoli wędrujące do komórki. Trochę kropi i wydaje się, jakby ktoś na niebie rozwiesił czarne płótno. Nic tak nie inspiruje jak mieszkanie w Finlandii o tej porze roku. Aż się ma ochotę skakać na skakance każdego ranka, tak z czystej radości. Wzdycham i z powrotem się kładę.

Gdyby mama miała jeszcze jakieś funkcjonujące komórki w mózgu, to zasponsorowałaby nam swoją Visę wyjazd w okolice równika albo jeszcze dalej na południe. Ale przecież wakacje w mieście są teraz bardzo modne, więc czego niby innego mogłybyśmy pragnąć?

Jestem podekscytowana. Teraz wreszcie zamykam oczy i próbuję kimnąć się przez godzinkę czy dwie. Amsterdamie – strzeż się! Wkrótce już nie będziesz taki jak kiedyś. Jutro spotkasz dziewczuchę z Tampere. A raczej poprawka: dziewczuchy. □